Arkadiusz
Buczek
OPOWIEŚCI
PORONIONE

Arkadiusz Buczek

OPOWIEŚCI PORONIONE

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2020

ISBN: 978-83-957928-3-0
Copyright © Arkadiusz Buczek
Projekt okładki: Krzysztof Jahn

Spis treści

PODZIĘKOWANIA

BIAŁA KAWA

DRAGOLJUB

DZIEŃ W KTÓRYM ZMARTWYCHWSTAŁ PAN JULEK

POGRZEB

PSIUNIA

TAJEMNICA SAMOBÓJCY Z ULICY L.

TRYPTYK O TRZECH WAŻNYCH RZECZACH

BRATERSTWO MIŁOSIERDZIA BOŻEGO

UPADEK I WZLOT ADAMA K.

BAJKA O ZACZAROWANYM PSIE

GÓWNIANE SZCZĘŚCIE

PODZIĘKOWANIA

Pragnę złożyć podziękowania paru osobom, które miały swój udział – świadomy bądź nieświadomy – w powstaniu tej książki. Przede wszystkim dziękuję mojej **żonie Magdzie** za cierpliwość i zrozumienie oraz utrzymywanie mnie w położeniu zbliżonym do równowagi psychicznej. Mojej **mamie** dziękuję za wsparcie finansowe, bez którego zdechłbym niechybnie z głodu, i dobre słowa. **Markowi Węgrzynowi** za stałe dostarczanie wrażeń i tematów do pisania, a także za motywację do pracy. **Iwonie i Jarkowi Potockim** za uratowanie od niewiadomego mojego psa Fausta i wiele pięknych inspirujących chwil. Faustowi za to, że jest moim cieniem i wiernym towarzyszem. **Piotrkowi Moskalowi** za wszechstronną pomoc techniczną. **Andrzejowi Michalikowi** za komputer, który ułatwił mi życie. **Stacji paliw nr 46 *„Orlen S.A.”*** za piwo promocyjne, które pomogło przetrwać mi wiele pracowitych bezsennych nocy. Poza tym **Wojtkowi, Stefanowi, Michałowi, Marcinowi, Bojanowi, Bananowi, Żubrówce, Kazubowi** – za różne rzeczy. Wszystkim znajomym barmankom i barmanom z krakowskiego Kazimierza za cierpliwość w stosunku do mojej osoby i obsługiwanie mnie w stanie wskazującym na spożycie. Więcej osób nie przychodzi mi do głowy, ale dziękuję także tym o których zapomniałem...

Autor

BIAŁA KAWA

Nie powinienem był wchodzić do tej kawiarenki, czy też raczej knajpki – obecnie na wszystkie lokale mówi się knajpa – jednak powodowany nagłą potrzebą schronienia się gdziekolwiek, wdusiłem do środka oszklone drzwi; przywitał mnie cichy zgrzyt zawiasów. Głupio było mi się wycofać. Wszedłem więc do środka i poczułem niemal fizycznie, jak przechodzę barierę wiosennego chłodu i deszczu. Zostały za drzwiami, z czerwoną tekturową wywieszką *„OTWARTE”*, które natychmiast zatrzasnęły się za moimi plecami.

Stałem tak w progu i przyglądałem się przez chwilę czterem obecnym klientom, zawartości ich szklanek, ścianom i różnym elementom wystroju. Po jaką cholerę tu wlazłem?, pomyślałem. Gdzie mam usiąść? Zamówić kawę czy piwo? Może zwyczajnie odwrócić się i wyjść?

– Co będzie dla pana? – Że niby dla mnie?

Dziewczyna oparta o wysoki bar, obdarzyła mnie ciepłym firmowym uśmiechem. Ładna jest, pomyślałem. Rudzielec – takie imię jej nadałem, oczywiście na własny użytek. Albo na użytek własnych kaprysów.

– To co podać? – Nalegała.

Kawa czy piwo? Kawa czy piwo? Kawa...

– Może kawę... Białą. – Spróbowałem uśmiechnąć się, ale chyba mi nie wyszło. Jakoś dziwnie na mnie spojrzała.

Tak naprawdę nie lubię białej kawy, bo to nie kawa. Piję czarną i najlepiej parzoną. Taką cholernie mocną, z dwóch czubatych łyżek stołowych. Ale jak już wspomniałem, nie byłem tego dnia sobą. Od jednej białej kawy nikt jeszcze nie umarł, pocieszyłem się. Chyba.

Gdy ekspres powoli produkował moją porcję kawy, zdążyłem oglądnąć wszystkie rodzaje kieliszków podwieszonych pod górną listwą baru – o dziwo czysto utrzymanych – i wszystkie butelki z alkoholem na półkach. Wytypowałem te, których napiłbym się w pierwszej kolejności. Trochę tego było...

– Kawa. – Szczęk, jaki wydała filiżanka ustawiona na spodeczku, przerwał moje arcyciekawe obserwacje i sprowadził mnie z powrotem na ziemię.

– Dzięki. – Tym razem uśmiech wyszedł mi chyba lepiej, a przynajmniej tak mi się wydało. Położyłem na barze monetę 5-złotową i poprosiłem o popielniczkę.

Usiadłem przy stoliku na wprost drzwi. Niewygodne miejsce, ale tylko tu mogłem mieć święty spokój. Od razu wszystko wyłożyłem na blat – kawę, popielniczkę, z kieszeni płaszcza wygrzebałem wygniecioną paczkę niebieskich gauloises'ów i zapalniczkę – i wgapiłem się w ulicę. Dopiero teraz rozpadało się na dobre. Przechodnie skryli się pod parasolami, które na tle mokrej lśniącej ulicy, przypominały wielkie kolorowe kwiaty...

Zapaliłem pierwszego papierosa i zaciągnąłem się głęboko. Wydmuchany dym skupił się nad moją głową na kształt gęstego siwego parasola... Cholera!, wszystko zaczęło kojarzyć mi się z parasolem. Upiłem łyk kawy. Nawet mi smakowała, ale dla efektu wsypałem do niej łyżeczkę cukru i pomieszałem dokładnie, starając się nie „dzwonić” nią o filiżankę. Normalnie nie używam cukru, chociaż lubię słodycze – szczególnie gdy popiję i mój organizm odczuwa niedobór glukozy. Ale cukier? Jakiś koszmar... Hej, facet! Obudź się!

Kolesie siedzący przy stoliku obok, dopili swoje odgazowane piwa i wstali. Co za męczydupy! Ubierając kurtki dyskutowali zawzięcie o jakichś pierdołach, od których przewalały się człowiekowi bebechy. Zupełnie jak ciuchy W automatycznej pralce... Wreszcie byli gotowi do uwolnienia mnie od swojego towarzystwa. Pożegnali się z barmanką i wyszli w deszcz, cały czas ględząc...

Zostałem sam, jeśli nie liczyć Rudowłosej. Może powinienem zainteresować się nią bliżej, ale było mi jakoś głupio. Nie byłem pewny nawet jej wieku. Nie żeby to była jakaś szczególna przeszkoda, ale...

Skupiłem się całkowicie na tej cholernej białej kawie, która zdążyła wystygnąć i papierosie dopalającym się w popielniczce. No i szybie przez którą obserwowałem ulicę... Muzyka która nagle dotarła do wszystkich zakątków mojego mózgu, była słodka i flegmatyczna. Gdybym miał ją

zanucić – jako beztalencie muzyczne – zrobiłbym to tak: *ta-ta-ta-tara, ta-ta- ta-tara*... Coś takiego.

Przed samym oknem przemknęła jakaś starsza kobieta pod czerwoną parasolką W kwiaty... Jakiś przemoczony i zmarznięty facet zniknął W bramie kamienicy naprzeciwko...

Muzyka nieoczekiwanie przyspieszyła, burząc to słodkie lenistwo. Brzmiało to mniej więcej tak: *ta-rara, ta-rara*... Energicznie, powiedziałbym. I chyba zacząłem śnić... Jeśli kiedykolwiek zdarzyło się wam coś tak niesamowitego, że aż nieprawdopodobnego, to pewnie wiecie o jakim uczuciu mówię.

Tak się właśnie poczułem, gdy zauważyłem, że ludzie zaczęli tłoczniej i szybciej chodzić ulicą – tonącą w deszczu – w takt tej muzyki! Zupełnie jakby wszyscy się zmówili, żeby wspólnie zatańczyć *„Deszczową piosenkę”*. Albo coś w tym rodzaju. Do tego wszystkiego wymachiwali tymi swoimi kolorowymi parasolami. Rzygać się chciało.

Odwróciłem się do Rudowłosej, żeby upewnić się czy i ona widzi ten cały cyrk na ulicy. Uśmiechała się do mnie szeroko i głupawo, jakby nic takiego się nie działo. Chora czy jak...? A potem po prostu podeszła do małej wieży i zatrzymała płytę...

Kątem oka spojrzałem na ulicę i aż mnie zamurowało.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI